PR

Cena numeru świątecznego 10 zł.

GŁOS PIOTRKOWSKI

PISMO POLSKIEJ PARTII ROBOTNICZEJ

ROK III | ŁÓDŹ, ŚRODA 24 GRUDNIA 1947 ROKU | Nr 351 (916)

POKÓJ LUDZIOM DOBREJ WOLI

Pisząc w nagłówku te słowa nie myślimy ukrywać prawdy przed naszymi czytelnikami. Horyzont dyplomatyczny jest zachmurzony. Sekretarz stanu U.S.A., generał Marshall, pełnomocnik wzbogaconych na wojnie giełdziarzy amerykańskich rozbił konferencję londyńską Rady Ministrów Spraw Zagranicznych. Korzystał przy tym z poparcia Bevina, przywódcy socjalistów angielskich oraz Bidault'a, leadera M.R.P. — francuskiej partii katolickiej! Dulles, Bullit, Mac Clay i wielu innych agentów imperialistów amerykańskich snuje po Europie niezbyt zresztą misterną sieć „planu Marshalla", w którą trafić mają zwabione obiecankami „pomocy" narody znękanej Europy. Przekształcić te narody w niewolników Morganów, Harrimanów, Rockefellerów, Claytonów i innych wielkich spekulantów amerykańskich — oto cel tego planu.

W Grecji, w Indonezji, w Chinach, w Vietnamie leje się krew, bo ta krew ma dać złoto miliarderom amerykańskim. We Francji, we Włoszech strzela się do robotników i chłopów walczących, bo tak chcą giełdziarze amerykańscy. Ministrowie amerykańscy i ich słudzy z niektórych gabinetów europejskich wygłaszają tyrady przeciw granicom zachodnim Polski, przeciw ZSRR, przeciw państwom słowiańskim knują w ukryciu spisek przeciw pokojowi narodów, pracują nad odrodzeniem imperialistycznych zaborczych Niemiec, jako bazy wypadowej imperializmu U.S.A. w Europie.

Te ponure fakty są prawdą, a mimo to z ufnością spoglądać możemy w przyszłość.

Walka o pokój, prowadzona przez klasę robotniczą na całym świecie, przez Związek Radziecki i państwa demokracji ludowej, dociera coraz lepiej do świadomości wszystkich narodów, skupiając wokół siebie siły o wiele potężniejsze niż te, które są w stanie uruchomić siewcy zła, czciciele złotego cielca, bałwochwalcy Wall-Street, fabrykanci broni, i spekulanci wojenni, którzy z pożogi wojennej, z nieszczęść człowieczeństwa, z krwi ludzkiej pragną ciągnąć niesłychane, fantastyczne wręcz zyski dla siebie.

Możemy ze spokojem i wiarą patrzeć w przyszłość.

Spójrzmy dookoła siebie. Tam, gdzie sterczały kikuty domów naszej stolicy — Warszawy, wznosi ręka budowniczych — mury nowych budowli. Ożyły nasze zniszczone przez okupanta fabryki, kopalnie i huty. Produkcja naszego przemysłu dochodzi już do poziomu przedwojennego, a w wielu gałęziach już go przekroczyła. Zorane i zasiane są ugory. Już w roku 1948-ym, jeśli dopisze urodzaj — rolnictwo polskie zaspokoi wszystkie niemal nasze potrzeby.

Żyjemy jeszcze surowym życiem. Wyrzekamy się wielu potrzebnych rzeczy. Ale każdy z nas z łat[illegible]ością może stwierdzić: jest z roku na rok lepiej i choć powolnym, ale pewnym krokiem zmierzamy ku dostatniemu, systemu życiu.



Możemy ze spokojem i ufnością spoglądać w przyszłość. Należy ona do nas, bojowników pokoju i szczęśliwszej, jaśniejszej przyszłości dla narodu polskiego i narodów całego świata. Zwierają się szeregi robotnicze, krzepnie jednolity front klasy robotniczej, krzepnie front narodów, walczących o pokój.

O naszą zdecydowaną wolę budowania wolnej i niepodległej Polski Ludowej, o wolę narodów, walczących o pokój, rozbiją się wszystkie siły zła i wojny, wszystkie wysiłki podżegaczy wojennych.

Pokój ludziom dobrej woli.

Wszystkim naszym Prenumeratorom, Czytelnikom,
Przyjaciołom i Towarzyszom
najserdeczniejsze życzenia
WESOŁYCH ŚWIĄT
zasyła
REDAKCJA „GŁOSU"

Przedświąteczne rozmowy z przodownikami pracy

Od zdolności i chęci zależy wszystko — mówi ob. Br. Deka — Tow. Pachulska na 6 krosnach zarabia coraz więcej — Fr. Czaja z ufnością patrzy w przyszłość

Prasa, wywiad — to już nie rzeczy nowe dla ob. **Bronisławy Deki.** Pisała już przecież o niej prasa łódzka i stołeczna. To nie są już dawne czasy Ludwika Geyera, kiedy była tylko szarym pionkiem — wprawdzie i wtedy dobrą tkaczką — ale jednak tylko jedną z wielu tysięcy, zależnych od dobrej i złej woli pierwszego lepszego majstra czy kierownika.

Skończyła właśnie robotę, można więc spokojnie pomówić.

— Czy idziemy naprzód, pyta — pani, czy poprawia się? Jakżeby inaczej — mówi lekko urażona. Jak się zaczęło współzawodnictwo wyrabiałam około 160 procent normy. Przy ostatnim obliczeniu miałam 193 procent — oświadcza z dumą.

Dwadzieścia sześć lat pracuje ob Deka, jako tkaczka — przez cały czas w tej samej firmie. Przed wojną u Geyera, teraz w Państwowych Zakładach Przemysłu Bawełnianego Nr. 3 Zły stan zdrowia nie pozwala jej robić na automatach, tak jak przed wojną, ani nawet przejść na 6 krosien, tak jak zrobiło wiele jej współtowarzyszek pracy. Na swoich 4-ch krosnach stała się jednak przodowniczką, prawdziwym asem P.Z.P.B. Nr. 3.

— Tylko od zdolności i chęci zależy wszystko, bo przecież siły to ja wcale nie mam — stwierdza z przekonaniem...

Lekarz zabronił jej denerwować się, więc też stara się pracować spokojnie, a to wychodzi na dobre i jej samej, i robocie. Własna praktyka nauczyła ją, że gorączkowa i nieprzytomna bieganina do niczego nie prowadzi, więc też uważnie i bez pośpiechu dogląda swoich krosien. Przy najmniejszej usterce odrazu naprawia, reguluje lub też woła majstra. A rezultat? Gdy choroba zatrzymuje ją w domu, majster z niepokojem myśli o planie produkcji swego zespołu...

Nie zarozumiałość, lecz zdrowa ambicja i duma przebija ze słów tkaczki — przodownicy. Zna swoją wartość i ma satysfakcję z tego, że znają ją i doceniają również i inni.

— Lekarz Ubezpieczalni — opowiada — koniecznie chce mnie wpakować do szpitala na obserwację, ale gdzie ja tam pójdę do szpitala — oburza się. Poszłam do prywatnego doktora, dał dobre lekarstwo i mogę pracować. Mam przecież dwoje dzieci, wymęczone to, wygłodzone za Niemca, muszę je teraz podreperować, lepiej odżywiać.

Nie tylko o odżywianiu ich myśli matka — przodownica. Chłopakowi chce koniecznie dać wyższe wykształcenie — już teraz garnie się malec do **książki**, chociaż ma dopiero 6 lat.

I napewno dopnie swego ta schorowana kobieta. Po stokroć ma ona rację twierdząc, że zdolności i dobre chęci to wszystko. Mimo choroby potrafi ona zarobić dwa razy tyle, co jej koleżanki tkaczki, ba, nawet dwa razy tyle, co jej własny mąż, pracownik huty szklannej.

To właśnie ona jest podporą swej rodziny. Nie uskarża się na to, odwrotnie — widać dumę w jej oczach, gdy opowiada, że to właśnie jej wzrastające zarobki pozwoliły sprawić córce ciepłe buty za 9.500 zł., buciki dla syna, że kupuje dzieciom i kawałek masła, i jabłko, że godnie przygotowuje im święta. Pewnie, w dostatki nie opływa — własny płaszcz musiała przerobić na paletko dla córki, sama poprzestaje na chostce—nie może sobie pozwolić również na to, by na święta uszyć sobie sukienkę. Ale przecież wiecznie tak trwać nie będzie. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że idziemy ku lepszemu. Widzi to jasno i wyraźnie każdorazowo przy wypłacie: w lipcu zarabiała na dwa tygodnie 3.750 — 3.800 zł brutto, w październiku już 5 tysięcy, przy ostatnim zaś obliczeniu wypadło jej 6.333 zł. W najbliższych dniach ob. Deka ma otrzymać pierwszą nagrodę za miesiąc listopad jako tkaczka — przodowniczka. Naturalnie, że te 3 tysiące złotych nagrody bardzo się jej przydadzą, szczególnie na święta. Za najważniejsze uważa jednak nasza przodowniczka co innego:

— Już bym chciała — mówi — mieć to odznaczenie na piśmie. Człowiek wtedy będzie miał zupełnie inną satysfakcję i pewność siebie.

* * *

Tow. Pachulska zaczęła swą karierę, jako 13-letnia dziewczynka. Dziś, jako 60-letnia przodownica na 6-ciu krosnach wyznaczona została przez Komisję Sędziowską swej firmy do **pierwszej nagrody.** Tow. Pachulska zna również dobrze świat i życie, jak swoje krosna. Była przed wojną we Francji — w tych dniach właśnie dostała stamtąd list: „Przyślij nam mąki i tłuszczu, bo tu u nas wcale tego nie można dostać".

Dziwi się tow. Pachulska: „Co to się u nich dzieje? Przecież Francuz przyzwyczajony dobrze zjeść i wypić, a tu nie mają nic i robotnik musi ciągle strajkować. A przecież w setnej części nie byli zniszczeni, tak, jak my. My na ich miejscu tobyśmy już mieli dwa razy tak duże zarobki, jak my teraz.

Tow. Pachulska straciła męża w czasie wojny — ze swego zarobku tkaczki musi utrzymywać matkę — staruszkę i pomagać chorej siostrze z córką. Nie jest to łatwe, ale od września, t. zn. od chwili przejścia na sześć krosien o wiele lżej wiąże koniec z końcem. Na czterech krosnach chociaż jest doskonałą tkaczką, wyciągała nie więcej, jak 4, 4 i pół tysiąca złotych na dwa tygodnie, teraz zarabia przeszło 6, a przy ostatniej wypłacie dostała nawet 7.275 zł (brutto). To jej pozwoli po ludzku jakoś urządzić święta. Chociaż wszystko jeszcze drogie, kupi jednak 2 kilo szynki, 2 kilo mięsa, pół kilo masła, skombinuje jakiś placek. Naturalnie, więcej się teraz pracuje, więcej nachodzi koło krosien, ale przecież wiadomo, że po takich zniszczeniach wojny i okupacji życie nie może być tak odrazu lekkie.

* * *

Ob. Franciszka Czaja pracuje już 51 lat u Geyera. Całe swoje życie spędziła przy wrzecionach. Choć sterana ciężkim życiem i pracą, nie dorównują jej jednak prządki o wiele młodsze i silniejsze. To ona właśnie jedna spośród wszystkich prządek, pracujących na trzech stronach, wyznaczona została do pierwszej nagrody. Trzy tysiące złotych, które z tego tytułu ma otrzymać przyjdą dla niej w samą porę. Jeszcze zdąży kupić coś na gwiazdkę dla małej wnuczki i oczywiście, dla siebie samej i dla swej córki-wdowy naszykować święta. Sam zarobek też pozwala jej teraz żyć trochę lepiej. Na dwóch stronach zarabiała tylko około trzech tysięcy na dwa tygodnie, teraz na trzech stronach wyciąga powyżej pięciu (z ostatniego obliczenia wypadło jej 5.958 złotych brutto).

— Mogłabym więcej zarobić, gdyby było dosyć niedoprzędu—żali się troskliwa matka i babka. — Gdy wszystko idzie bez przeszkód to aż człowiek ma chęć do roboty, a jak postoje — to ręce opadają.

Nie jedyna to zresztą przeszkoda w osiągnięciu wyższej normy i wyższego zarobku.

Brak nam dobrych prządek — martwi się ob. Czaja — młode lekceważą sobie robotę gdy przychodzę na moją zmianę, to zastaję na maszynie taką papraninę, że całą godzinę muszę stracić, by to wszystko doprowadzić do porządki.

Zasłużona prządka — robotnica nie traci jednak nadziei:

— W 1945 roku, — opowiada, była nas tylko mała garstka starszych prządek, musieliśmy dopiero zacząć uczyć, a przecież przędzalnia jakoś poszła w ruch.

Optymizm zupełnie uzasadniony. I dziś z małym odsetkiem wykwalifikowanych prządek przędzalnia P.Z.P.B. Nr. 3 wykonuje plan produkcji, a w ostatnich tygodniach nawet poważnie go przekracza.

H. W.

Ci, którzy dziś pracują

Stanowczo nie miał tego dnia szczęścia maszynista pociągu 21635.

Nie miał szczęścia, bo wieczorem wigilijnym nie rozporządzał tak jak-by chciał, według własnego uznania.

...Pociąg stał na opuszczonej małej stacyjce nieruchomy, zastygły. jakgdyby na święta leniwy. Wokół zamiast migotliwych świeczek choinkowych zapalał się sznur czerwonych światełek.

Maszynista wciągnął powoli gruby kombinezon, owinął szyję ciepłym szalem, przetarł oczy i grubą spracowaną dłoń oparł o dźwignię. Pociąg drgnął, spod kół strzeliły krótkie strzępiaste obłoki pary, do uszu dobiegł warkot puszczonej w ruch maszyny. Na niebie zapalały się coraz to nowe gwiazdy. Przed oczami przesuwały się natrętne obrazy z domu rodzinnego, gdzie właśnie teraz w tej chwili huk pociągu nie mącił ciszy uroczystego wieczoru. Zapadł już zmierzch. Szachownice pól poprzecinane wstęgami dróg stawały się coraz ciemniejsze i coraz mniej wyraźne. Tu i tam wykwitały niby świętojańskie ogniwki, światełka świeczek choinkowych z małych okienek wiejskich zagród...

Pociąg rwał naprzód, pędził, huczał. W rozgniewanym, szalonym pędzie przebiegały godziny wigilijnej wieczerzy, której dla jego kierowcy nie było...

* * *

...„Wesołych Świąt' „Spokojnych świąt". Oto treść tysięcy białych papierków, które segregują zgrabne ręce panny Zosi, telegrafistki Urzędu Pocztowego Nr. 1. Trochę sztywno, trochę mechanicznie wystukuje panna Zosia wciąż te same słowa.

Piętrzą się jeszcze przed nią stosy depesz a przed oczami stoi zielone zgrabne drzewko, zawieszone niezliczonym rojem kolorowych świecidełek, rumianych jabłek, smukłych świeczek...

Panna Zosia nie umie się jednak martwić długo. Chociażby dlatego. że nie jest tu dzisiaj osamotniona. Trochę dalej w sortowni koledzy uważnie rozdzielają stosy listów i kartek. To nic, że Noc Wigilijna. Starają się o niej nawet nie myśleć,pochłonięci żmudną pracą dostarczania przesyłek, które spóźnić się nie mogą.

Poczta pracuje...

* * *

...„Mamusiu, mamusiu, kiedy nareszcie ten tatuś przyjdzie?"

Tak trudno wytłumaczyć Helence, że właśnie dziś nie przyjdzie wcale. Poprostu dlatego, że jest strażakiem. Może gdyby pracował gdzie indziej, może tego dnia byłby w domu. Ale jak tu wytłumaczyć dziecku, że kolorowe świeczki, które tak lubi, są rokrocznie w jakimś punkcie przyczyną pożaru. Czuwają więc w ośmiu strażnicach miasta ojcowie Helenek i Maryś po to, aby spokojnie spędzały święta tysiące ich rozbawionych rówieśników,

* * *

...i czuwa ktoś jeszcze...

Jeden tylko posłyszysz stuk na wyludnionych, zamarłych dnia tego ulicach. To stuk ciężko podkutych butów stróża twojego spokoju — milicjanta. W patrolu służbowym zobaczysz go na straży przy składach broni przy magazynach mundurowych i benzynowych. Czujny i uważny nie schodzi z posterunku nigdy. Nie ma dla niego Wigilijnego Wieczoru. Nie myśli nawet o nim — on, niestrudzony żołnierz pokoju — pochłonięty troską o spokój innych.

* * *

...Jest ich sześćdziesięciu przy pracy. Osiemdziesięciostopniowa temperatura, motor, piec i generator oto ich Wigilia. Gdzieś tam w jakiejś cudem złapanej chwili przełamią się opłatkiem, i nie zatrzymując się dłużej znów chwycą się za taczki i łopaty. Nie mają czasu. Bo wiedzą dobrze, że ich praca ustać nie może. Że w przewodach przechodzić musi stale i niezmiennie, błękitny gaz. Tak samo potrzebny na codzień i na święta.

* * *

..Felek... a jak elektryki nie było, to też było dobrze, jakoś ludziska żyli, a tak tu sie dzieć dzisiaj musiem.

Felka aż uniosło.

...Źle było bez niej, a zresztą, jak elektryka jest, to trzeba koło niej robić huknął i jeszcze energiczniej niż dotąd począł zsypywać z rusztów masy żużla i popiołu

...„Ty lepiej zobacz dokoła — dodał — ty nie jeden tutaj. Kowalski przy pompach, Cieślik przy turbinach. kontrolerzy przy aparatach. wszystkich prawie masz, W pogotowiu są. Jak się co komu ze światłem zepsuje, my je musiem dać.

Wigilia jest, każdy chce jasno w domu mieć...

*

...Hallo! Hallo! Pogotowie...

— Proszę natychmiast... zaraz... już..

Łamie się i plącze głos na drutach.

Szybko, jeszcze szybciej niż zawsze, pędzi wyludnionymi ulicami ambulans. Różne są koleje losu — myśli siedzący w karetce lekarz.— Jedni szczęśliwi śpiewają radosne zwrotki kolęd, inni czekają na pomoc i ratunek. Nie jest podobna do innych moja Wigilia — zastanawia się dalej, — ale czy treść jej nie jest najpiękniejsza? Czy to nie ja właśnie jestem tym, który spełnia sens Wigilijnego Wieczoru. Niesienia pomocy. spełniania miłości bliźniego.

*

Na korytarzu szpitalnym cicho...

Nachylona nad maleńkim chłopaczkiem uśmiecha się zawsze surowa siostra Anna. Uśmiecha się myśląc o tym, czy urodzony w ten wieczór szczęśliwy uniknie na przyszłość dni ponurych.

Siostra Anna cicho szepcze w różowe uszko chłopczyka...

...abyś nie słyszał nigdy słów złych i nie spotkał ludzi nikczemnych.

.. abyś był zdolny, dobry i sprawiedliwy.

Szczen.

Czytelnicy PZPB Nr 9

mają głos

Jak spędzaliśmy święta Bożego Narodzenia podczas okupacji? Wszyscy Polacy powinni zachować w pamięci te straszne czasy. Nieste ty, zdarza się i tak, że niektórzy zapominają o ówczesnej niedoli. Bardzo to źle świadczy o tych zapominalskich. Należy pamiętać każdą chwilę spędzoną podczas niewoli, by tym goręcej pokochać wolność w naszej ludowej Ojczyźnie.

Ja nigdy, nigdy nie zapomnę lat poniewierki i niewoli. Gonili mnie okupanci po całym świecie. Byłam w Niemczech, Francji. Męczyła mię troska o los najbliższych. Toteż wspomnienie tamtych świąt wydaje mi się koszmarem.

Czy jest mi już dzisiaj dobrze? Skłamałabym, gdybym tak stwierdziła. Ale jestem szczęśliwa. W wolnej Polsce — dla swoich pracuję, z nadzieją w sercu, że moje dzieci mają zapewnioną szczęśliwą przyszłość. Tę pewność każdy może uzyskać, gdy się głęboko zastanowi nad obecną sytuacją. Mieszkam sześć kilometrów za Ozorkowem. Codzień muszę chodzić dwie godziny do tramwaju. Ale wiem napewno że kiedyś uzyskam mieszkanie w mieście. Poprawa w warunkach życia jest widoczna, choć powoli, ale z każdym rokiem jest lepiej.

W 1945 roku pracowałam na czterech krosnach, zarabiałam do czterech tysięcy zł. W 1946 do ośmiu tysięcy, w tym roku pracuję na sześciu krosnach i zarabiam 13 tysięcy zł. Czy mi to wystarczy? Nie, nie przelewa się w moim domu. Ale przecież żyję lepiej niż rok czy dwa temu. Święta Bożego Narodzenia w 1947 r. są lepsze, aniżeli w roku 1945-ym i mam to przekonanie, że w przyszłym roku będzie jeszcze lepiej.

NA MOICH KROSNACH TKAM W POLSCE LUDOWEJ LOS SWÓJ I SWOICH DZIECI Dlatego tkać będę jak najlepiej, jak najwięcej. To jest moja gwiazdka dla wolnej Ojczyzny.

Alfreda Włodarczyk
tkaczka PZPB Nr. 9

*

Smutne były lata spędzone na obczyźnie w niewoli hitlerowskich bandytów. Oddaleni od najbliższych, spędzaliśmy święta Bożego Narodzenia we łzach. W Bayreut (Górna Bawaria) pracowałam w okresie okupacji jako prządka Cztery lata męki i tęsknoty za krajem. Wigilię Bożego Narodzenia spędziłyśmy przy kromce czarnego chleba i kubku czarnej kawy, by nazajutrz znów stanąć do maszyny i pracować dla morderców naszych braci. Pierwsze święta w wolnej Ojczyźnie w 1945 roku były pełne radości A przecież materialnie gorzej było bez porównania — aniżeli dziś. Byłam wtedy tak bardzo szczęśliwa!

I to był nastrój ogólny. Wszyscy Polacy radowali się odzyskaną wolnością.

W tym roku zaczęłam pracować na trzech stronach. Zarabiam więcej, Święta będę miała trochę lepsze aniżeli w 1946 r. a bez porównania lepsze niż w roku 1945-ym. Jestem pewna: **że nigdy nie będzie bezrobocia. ani obniżki płac, że żadne święta Bożego Narodzenia w Wolnej Demokratycznej Polsce nie będą smutne. ani głodne, że będzie coraz lepiej.**

Helena Pawłowska
prządka PZPB Nr. 9

TYDZIEŃ W ILUSTRACJI

Jednolity front stanowi wypróbowany oręż polityczny klasy pracującej...



— oświadczył na Kongresie ponownie wybrany Sekretarz Generalny CKW PPS, tow. J. Cyrankiewicz

„PROLETARIUSZE WSZYSTKICH KRAJÓW, ŁĄCZCIE SIĘ!"



W dniach 14 — 17 br. obradował we Wrocławiu XXVII Kongres PPS. W imieniu rządu i Wojska Polskiego powitał Kongres Naczelny Dowódca W. P., marszałek M. Rola-Żymierski (na zdjęciu). Kongres zakończył się potężną manifestacją jednolitofrontową.

Tylko jednolity front PPR i PPS wiedzie do nowych zwycięstw...



— powiedział na Kongresie Sekretarz Generalny KC PPR, tow. Wł. Gomułka-Wiesław

PRZYJEMNA WIZYTA



Wszystkie niemal zakłady pracy w Polsce zostały odwiedzone przez popularnego w sferach dziecinnych i młodzieżowych inspektora od podarków gwiazdkowych, św. Mikołaja. Nie trzeba dodawać, że wizyty świętego cieszą się wszędzie gorącym przyjęciem.

WIELKIE ŚWIĘTO ENERGETYKI POLSKIEJ



19 b. m. odbyło się pod Łodzią uroczyste otwarcie linii wysokiego napięcia łączącej dwa największe ośrodki przemysłowe Polski: Łódź i Górny Śląsk. Linia została wybudowana w rekordowym tempie i wyłącznie przy użyciu materiałów krajowych. (Na zdjęciu — Min. H. Minc, który po dokonaniu symbolicznego uruchomienia linii, dekorował pracowników zasłużonych przy jej budowie).

BRAWO, KOLEJARZE!



Kolejarze nasi nie tylko przejeżdżają tysiące, a nawet miliony km, ale również budują nowe linie kolejowe. 15 bm. otwarto bardzo ważne połączenie kolejowe Tomaszów-Maz. — Drzewica.

WŚRÓD TYCH, KTÓRZY NA GWIAZDKĘ DOSTALI „GWIAZDKĘ"



Zaprzysiężenie nowego rocznika



W łódzkiej Szkole Oficerskiej i Pol.-Wychow. W. P. odbyła się 14 bm. uroczysta promocja na „podporucznika". Na zdjęciu — prymus Szkoły, ppor. Królik (przemawia), w szeregu gości — I wiceminister ON, gen. M. Spychalski (pierwszy z lewej) i słynny inicjator współzawodnictwa pracy, tow. Pstrowski (drugi z prawej)



Wręczenie sztandaru Klubowi Sportowemu Szkoły

LITERATURA i ŻYCIE

Seweryn Pollak

OSTATNIA WIGILIA

To była ostatnia Wigilia w niezburzonej jeszcze Warszawie. Rok 1943. Było to jednocześnie dno nocy okupacyjnej, gdy w olbrzymiej dżungli miasta Niemcy polowali na ludzi, łapanki, publiczne egzekucje i rozboje stały się naszym losem codziennym, gdy bardziej małoduszni zaczęli sądzić, że tak już być musi.

Zaczęło się od tego, że na kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia żołdacy niemieccy ograbili Kudajową. Oczywiście Kudajowa nikomu nie meldowała o tym wypadku, nicby jej z tego nie przyszło, a mogłaby się narazić na gorsze jakieś konsekwencje. Ale, gdy następnego dnia pobito do nieprzytomności sąsiada, doktora Wysza i gdy odwieziono go do szpitala, Dr Wysz, broniąc się przed zarzutami, że pobicie miało charakter polityczny, nieoględnie powołał się na historię z Kudajową.

Nadszedł dzień Wigilii. Rodzina Kudajów dzieliła się właśnie opłatkiem, gdy nagle rozległo się mocne stukanie do drzwi. Wszyscy zadrżeli — takie stukanie w tych czasach nie oznaczało nic dobrego. Nadomiar złego Kudajowie nie byli sami, mieli gości. A goście byli, jak na owe czasy niezwykli — dwaj Francuzi, którzy porwani w łapance w Lyonie, pracowali w Górze Kalwarii, w fabryce zbrojeniowej, wykradli się na ten wieczór z koszar, aby spędzić go w towarzystwie przyjaciół — Polaków. Ja i moja żona, najbliżsi sąsiedzi Kudajów nie liczyliśmy się — nam było wolno u nich przebywać.

Stukanie do drzwi powtórzyło się, mocniejsze, bardziej niecierpliwe. Cóż było robić? Kudaj poszedł otwierać.

Nie omyliły nas przeczucia—w drzwiach stało dwóch Niemców. Przepraszali, że w takiej chwili przychodzą, ale trudno, obowiązki służby. Jednocześnie rozglądali się w około myszkującym wzrokiem i niby niewinnie, przypadkiem, wyrazili źdźiwienie z jakiego to powodu odbywa się tu tak liczne zebranie. Poprosili grzecznie o dowody osobiste. Kudaj legitymował się dość długo i jednocześnie wyjaśniając im charakter uroczystości tak jakby nie wiedzieli o tym, jakby nie przepraszali przed chwilą, że ją muszą zakłócić. — To bardzo dobrze — odzywa się naraz jeden z SA-manów — weźmiemy udział w waszym święcie, a sprawy urzędowe załatwimy później. Oto nasz wkład.

To mówiąc wyciągnął z kieszeni butelkę wódki.

— Tak, lecz wpierw musimy wiedzieć z kim mamy do czynienia — wtrącił się drugi, w okularach bardziej służbisty. Niebardzo przypadły nam do smaku obie propozycje. Kudaj zaczął coś mówić o rodzinnym charakterze uroczystości, lecz żona jego, pamiętając o Francuzach, którzy na domiar złego nie mówili ani po polsku, ani po niemiecku, zaczęła uprzejmie zapraszać Niemców do stołu. Ulegli, nawet służbista, o to im przecie chodziło.

Międzynarodowe towarzystwo zasiadło do stołu, o opłatku oczywiście nie mogło już być mowy. Francuzi przezornie milczeli. Za to Niemcy nalewali sobie wódkę do szklanek, pili nie przegryzając i coraz bardziej stawali się rozmowni. Pozory myliły. Pierwszy był hitlerowcem, służbista natomiast po pół godzinie picia zadeklarował się jako opozycjonista wobec reżimu.

— Jestem zmuszony — tłumaczył się. — Myślicie, że ta wojna sprawia nam przyjemność? Hitler chce opanować świat, a przecież wszyscy jesteśmy braćmi...

Na nieszczęście Francuzi nasi, dotąd milczący, stali się naraz rozmowni. I na domiar złego Esman — pacyfista znał język francuski.

Rozmowa stała się gorąca. Padło nazwisko Petaina. Francuzi nie krępowali się.

— Ce cochon Petain — mówili — zaprzedał nasz naród, lecz my tu na obcej ziemi robimy co możemy, by Hitler przegrał wojnę. W Górze Kalwarii..

W tym miejscu Kudaj zakrztusił się. Dostał gwałtownego ataku kaszlu. Nic nie pomogło. Francuzi mówili dalej. Sytuacja z chwili na chwilę stawała się coraz groźniejsza.

Esman — służbista był w siódmym niebie. Oświadczył, że jest socjalista, że nas rozumie, że chciałby z nami współpracować.

— Wiem dobrze, że to zebranie polityczne. Przecież wy wszyscy Polacy, jesteście rewolucjonistami. I to dobrze, to słuszne...

Podszedł do pianina. Na cały głos fortissimmo zabębnił najpierw Marsyliankę, a potem Międzynarodówkę.

Drugi szwab, pijany, drzemał na fotelu. Muzyka zbudziła go. Zerwał się naraz, powiódł ogłupiałym, mętnym wzrokiem wokoło, chwiejąc się na nogach zbliżył się do tego w okularach i nagle z całej siły z okrzykiem Heil Hitler uderzył go w twarz.

Struchleliśmy. Lecz oto pacyfista wypręża się na baczność i wrzeszczy w odpowiedź — Heil Hitler. — A potem do nas: „Aresztuję was, już teraz wiem coście za ptaszki".

Pijanych jak bełę Niemców nietrudno było unieszkodliwić. Zwłaszcza, że było nas pięciu mężczyzn. Lecz co potem?

Kudaj i jeden z Francuzów trzymali esmanów w podwójnym uchwycie. Naradzaliśmy się przez chwilę. Była druga w nocy. O ucieczce nie było mowy, pierwszy lepszy patrol zatrzymałby nas na ulicy. I oto po schodach zaczęła schodzić dziwna procesja: dwaj Niemcy stale w uścisku podwójnego nelsona Kudaja i Francuza, a obok dwu mężczyzn przytrzymujących kneble na ustach esmanów. Nareszcie drzwi wejściowe — chustki zostają odjęte, a Niemcy, wypchnięci silnymi uderzeniami, wypadają na bruk.

Długo staliśmy przy oknach. Noc była ciemna — trudno było coś dojrzeć. Nagle po dłuższej chwili w parku naprzeciw naszego okna w odległości kilkudziesięciu kroków rozległy się strzały rewolwerowe, a potem głośny śmiertelny krzyk.

Nazajutrz wczesnym rankiem dowiedzieliśmy się, że znaleziono w parku trupa Niemca w okularach. Drugi Niemiec znikł. Teczkę z aktami sprawy Kudajowej, pozostawioną przez nich, Kudaj przezornie spalił jeszcze w nocy.

Dalszych dochodzeń Niemcy w domu naszym nie robili.

Władysław Broniewski

* * *

Co mi tam po tytułach:
wystarczy własne nazwisko,
by po odbitym w Wiśle księżycu się tułać
i widzieć wszystko.

Ja słyszę, jak trawa rośnie,
ale co tam zielona trawa,
kiedy codzień, co godzina czuję,
jak się z gruzów okrutnych dźwiga i buduje
Warszawa!

Ja nie chcę być szefem BOS-u,
bom nie inżynier,
ale umiem dźwigać pod niebiosa
Wrocławie, Szczeciny, Gdynie!

Węgiel dobywać, przędzę prząść? —
nic by z tego nie wyszło,
ja na sto koni parowych chcę wsiąść
i pędzić w przyszłość.

Za to wszystko chcę otrzymać w darze
ten z Wisły księżyc srebrny,
ambasador republiki marzeń,
minister spraw niepotrzebnych.

Ryszard Matuszewski

Żolibórz

Żolibórz: joli bord,
— bardzo dalekie, piękne wybrzeże.
Piękna dzielnica: marzenia port,
labirynt najsekretniejszych ścieżek.

Domy: szary front
serc, zamiarów, myśli,
przez nie prowadzi lont
walki i nienawiści.

Tutaj — niemalże codzień nocą
— aut ciemnozielonych kolumny.
Nad wyprowadzonymi — niebo: milczenia [posąg,
niżej: wieko więziennej trumny.
Miła! są tu ogrody,
wille, róże, bzy, piękne
i trumny:
Jak ci to wytłumaczyć?
żeby serce nie pękło?

Żolibórz — pięć wojennych lat:
domy, ludzie, marzeń dynamit.
Dzisiaj — krótki bilans zysków i strat:
po jednej stronie — Zwycięstwo,
po drugiej — dzielnicy krwawy strzęp,
domy i serca podziurawione kulami.

Kochasz Żolibórz? Patrz — piękny brzeg:
Wisła, piaski, mielizny.
Dla mnie Żolibórz — wiesz — to brzeg
mojej wolnej Ojczyzny...

Andre Chamson

Pan Tourinas

André Chamson należy do tych pisarzy, którzy w czasach okupacji stanęli zdecydowanie w szeregach walczących o wolność i niepodległość kraju. Jego opowieść z tych czasów p.t. „Studnia Cudów", której przekład ukaże się niebawem w języku polskim nakładem Sp. Wyd. „Czytelnik" demaskuje w całej pełni podłość i egoizm kolaboracjonistów i ukazuje ich drobnomieszczański rodowód.

Pan Tourinas zamieszkiwał wielki dom, który znajdował się naprzeciwko tego, gdzie ja znalazłem schronienie. Był to jeden z najznakomitszych ludzi w mieście, prawdziwa „osobistość", jak sam stwierdzał, mówiąc o sobie. Wysokiego wzrostu, o ruchach pełnych godności, tryskający zdrowiem, co ukrywał pod maską chłodu, ubierał się zawsze na czarno, i nie zdejmował przed nikim kapelusza. Myślę, że musiał go mieć przy sobie, kiedy był sam, jako oznakę suwerenności. Widziałem go zdejmującego kapelusz tylko w obliczu prefekta policji i biskupa. Była to rzeczywiście jedna z najwybitniejszych osobistości w mieście. Jego twarz była okrągła, czoło pospolite, noc przeciętny. Tym, co uderzało w jego wyglądzie, były maleńkie oczki, zmniejszone jeszcze przez stałe mrużenie powiek. Robił wrażenie człowieka, który patrzy, nie będąc widzianym, jak ktoś ukryty za płotem, kto widzi wszystko sam się nie odsłaniajac. W okresie o którym mówię, przekroczył on sześćdziesiątkę, ale w ciągu czterdziestu lat żył jedynie po to, aby zarabiać pieniądze i gromadzić bogactwa. Stawszy się bogatym i potężnym, wycofał się z interesów, ale nie spuszczał z nich oka, działając przez swego syna i spad kobiercę który zarabiał tak samo dużo pieniędzy, prowadząc dom handlowy „Tourinas i Syn, żelazo i metale". Żyjąc na uboczu pan Tourinas starał się ponadto uzasadnić swym życiem i swoimi powiedzeniami konieczność bogactwa. Jego egzystencja miała przeto charakter najwspanialej jednolity aż do chwili, kiedy nieszczęścia czasów uczyniły mnie jego sąsiadem.

Ale kiedy nieszczęścia czasów zmieniły brutalnie to zasobne miasto w zaniedbane skupisko ludzkie, kiedy zaczęto nie wiedzieć rano, co się będzie jadło wieczorem, kiedy chleb i sól zostały nam ściśle wyliczone przez bezlitosnych władców, przeciwko którym nie mogliśmy nic zdziałać, pan Tourinas odkrył błyskawicznie, że świat był ofiarą materializmu.

— To materializm do tego nas doprowadził — powtarzał głosem wiejskiego proboszcza, zramolałego i jąkającego: „Bóg tak chciał" w obliczu rozlanego mleka lub dziecka sąsiadki, uduszonego przez dyfteryt. Ale pan Tourinas nie był zramolały, i nie zamierzał sam siebie oskarżyć, nie precyzując dokładnie sensu tej formuły. Nie wypierał się niczego z tego, czym był w ciągu więcej, niż czterdziestu lat. Uważał nadal, że tylko pieniądz rozstrzygał o wyższości ludzi „wyższych", nie myślał przy tym bynajmniej, że także pieniądz był przyczyną wszystkich nieszczęść, jakie cierpieli ludzie „niżsi". Wiedział nade wszystko, że ogólnej nędzy nie muszą wcale koniecznie znosić ci, którzy ją umieją przed sobą usprawiedliwić. Musiał zrobić to odkrycie już dawno, prawdopodobnie podczas pierwszej wielkiej wojny stulecia. Miał się on istotnie przy swoich trzydziestu latach w tym czasie całkiem nieźle, był „narodowcem", co nie przeszkadzało, że pozostał w domu w ciągu całych czterech lat, kiedy można było umrzeć na polu chwały. W nowym nieszczęściu, w którym znaleźliśmy się, umiał on — przeto wytłumaczyć nędzę i niewolę. Jakżeby mógł się troszczyć o mordowanie psów?

— To materializm do tego nas doprowadził. Ludzie chcieli za dobrze żyć. Wielka pokuta była konieczna!

Tak mówił pan Tourinas. Tak mówił człowiek, który nie pragnął nigdy niczego, prócz dóbr tego świata, któremu nigdy nic nie brakowało, i któremu nie brakowało nic w dalszym ciągu, pośród ogólnej biedy. Czyż psy chciały także za dobrze żyć?

Ale ten nieprzyjaciel materializmu, ten apostoł pokuty, ten zwolennik „moralnego odrodzenia" wykazywał zadziwiającą zdolność unikania ciosów publicznych zarządzeń, dekretów, proklamacji i ustaw, dotyczących wszelkiego rodzaju ograniczeń. Na dwadzieścia cztery godziny przed ich wejściem w życie, umiał zawsze przedsięwziąć odpowiednie środki, aby nie stać się ich ofiarą. W wigilię dnia, w którym ogłoszone zostały restrykcje, dotyczące zużycia drzewa tak surowe, że biedni ludzie nie mieli czym rozpalić ognia pod kuchnią, sprowadził cały las do piwnic swego domu. „Co najmniej piętnaście tonn!" — jak mówiła wycieńczonym głosem jedna z dwóch bladych starych panien, które przez cały dzień wyprawiały skórki królicze w sklepiku u wylotu mojej ulicy.

Ale tylko „konieczność" zmusiła pana Tourinas do tego głośnego postępku. Zazwyczaj nie poruszał on nigdy opinii publicznej i nie dawał ludziom żadnej okazji do plotek na swój temat. Będąc właścicielem kilku majątków o pełnej wydajności, tylko nocą przyjmował wizyty swoich dzierżawców i hałas rowerów z koszykami o zawartości zawiniętej w serwetę i przywiązanymi do kierownic i bagażników budził poruszenie stosunkowo dyskretne. Parę razy, rankiem, dzieciom o nogach brudnych i bosych i kolanach grubszych niż łydki, bawiącym się w rynsztoku ulicznym, udało się znaleźć przed jego drzwiami parę kartofli, i miast bawić się, odnosiły je matkom, jak najwspanialszą zdobycz.

Wystarczyło mi kilka dni, aby pojąć dokładnie, jaką grę prowadził pan Tourinas. Był to przy tym czas, w którym, ogłuszony boleścią i rozpaczą, z trudem potrafiłem rozróżnić nawet rysy ludzkiej twarzy. Wierzyłem wtedy naiwnie, że wszyscy, co żyli dokoła mnie, podzielali to samo cierpienie i tonąłem w złudzeniu, wypełnionym smutkami moich braci. Pan Tourinas był pierwszym, który sprawił, że zetknąłem się na nowo z życiem rzeczywistym. Któż bardziej niż on przyczynił się do tego, iż zrozumiałem, że nieszczęścia powszechne nie są nieszczęściami, które dotyczą wszystkich?...

tłum. Ryszard Matuszewski

T. M. Szancer

Stoi na stacji lokomotywa...

Kiedy łamiąc się opłatkiem złożycie sobie życzenia świąteczne, kiedy zasiądziecie do stołu wigilijnego, może z daleka dobiegnie was gwizd lokomotywy pędzącej w mroku nocy na dalekich szlakach.

Posłuchajcie! Koła się kręcą, uderzają o szyny rytmicznym stukotem. Maszynista i palacz podali sobie ręce, jeśli... jeśli w tej nocy wzmożonej pracy, wyostrzonej uwagi, nie zapomnieli o Wigilii.

Czterdzieści drużyn jest w tej chwili w drodze. Na stu sześćdziesięciu maszynistów węzła łódzkiego, zawsze, w każdej chwili dnia i nocy, jest takich czterdziestu, którym się „koła kręcą". Niektórzy z nich rozpoczynają dopiero drogę, inni odprowadzają zdyszane lokomotywy do parowozowni.

Co pół godziny przybywa do parowozowni na dworcu Kaliskim jeden parowóz, co pół godziny inny opuszcza ją wyruszając w świat. Tutaj w tym ogromnym hotelu, sanatorium dla maszyn odpoczywają parowozy na dwudziestuośmiu kanałach.

Część z nich zostanie tutaj dłużej, wymaga gruntownego leczenia. Dzień, dwa, dla bieżącej naprawy, przy „średniej" sprawa może się przeciągnąć dwa i trzy tygodnie. Parowozownia to jakby nowoczesna gigantyczna Kuźnia Wulkanu. Głąb hali i strop giną w mroku i dymach. Wysoko zawieszone lampy rzucają leje świetlne na czarne połyskliwe parowozy. W dymach i reflektorach czarne sylwety ludzi. Nachyleni przy kołach, tłokach, wspinający się po olbrzymim pancerzu kotła, przypominają Liliputów, którzy uwięzili stalowego Gyliwera.

— — —

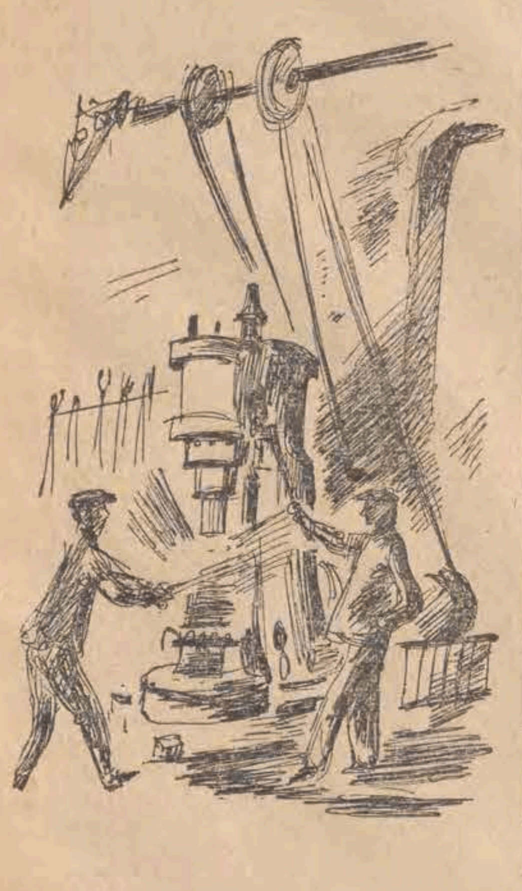
Dziś, kiedy błądzę po parowozowni, przytłacza mnie ogrom pracy, którego nie przeczuwałem, obijają się o uszy terminy techniczne.

Tutaj zmiana pierścieni, części trących i rewizja kotła, tam obtaczanie kół i naprawa armatury.

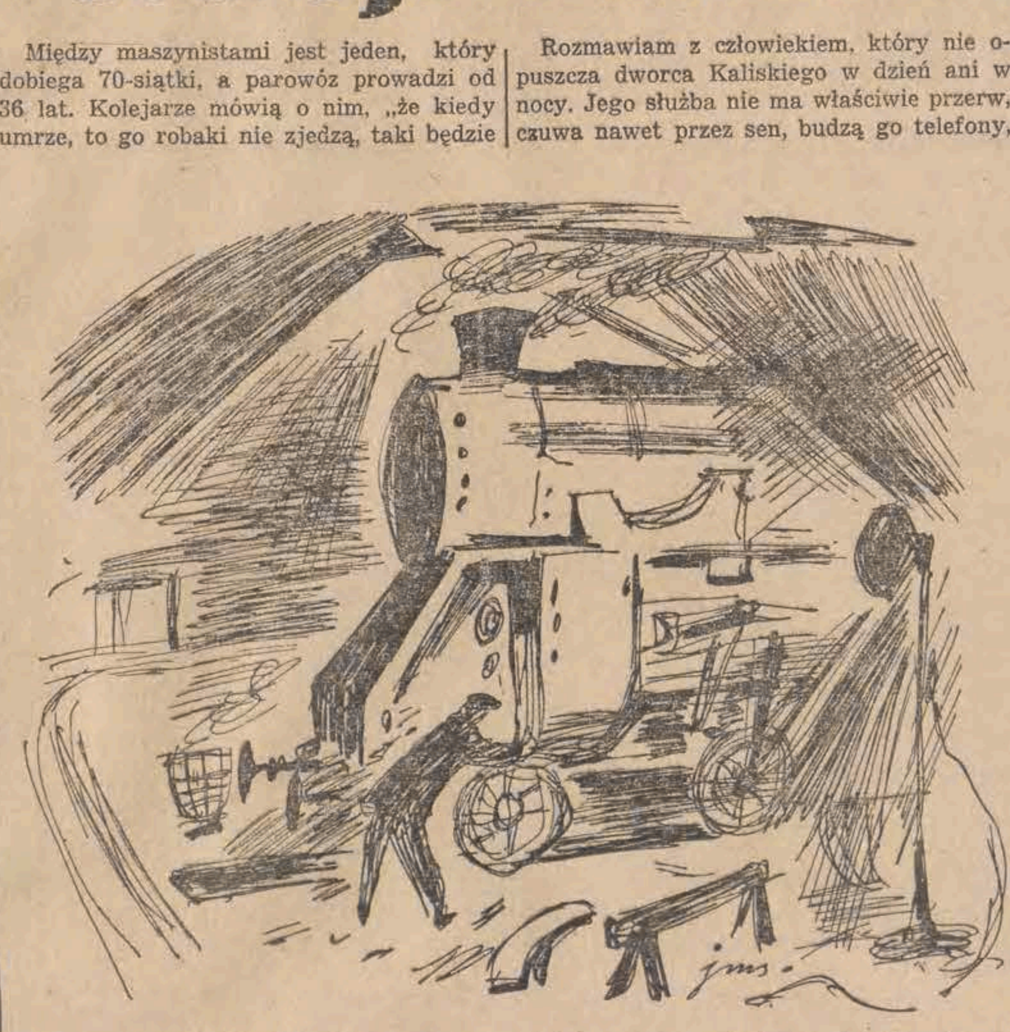
— Wszystkie naprawy staramy się załatwić we własnym zakresie, w razie potrzeby produkujemy nawet nowe części, mamy odlewnie, kuźnię, tokarnię. — objaśnia mnie kierownik robót. — Kierownik jest młody, nie chce się bardzo przyznać, od jak dawna pracuje na kolei. — A wykształcenie techniczne? Jest samoukiem maszynistą, a zresztą zawsze interesowała go kolej, więc tak z ciekawości poznał różne działy. Teraz uczy się dalej na kursach korespondencyjnych.

— Czy będą pracowali w Wigilię? Oczywiście! Przewidziany jest przecież wzmożony ruch, dodatkowe pociągi, roboty będzie sporo, chociaż i teraz jej nie brak.

Ale robota na kolei ma w sobie coś, co wciąga, nie myśli się o zmęczeniu. Lata mijają jak godzinv.



Między maszynistami jest jeden, który dobiega 70-siątki, a parowóz prowadzi od 36 lat. Kolejarze mówią o nim, „że kiedy umrze, to go robaki nie zjedzą, taki będzie



w ziemi gorący". Ale śmierć nie łatwo takiego dogoni, co pracuje na pośpiesznym.

— A młodzi, czy także tacy gorący? — zapytuję.

— Ekipa jest dobra. — Stu ludzi, pracuje na trzy zmiany, oczywiście to tylko parowozownia i warsztaty. Na węźle Łódzkim pracuje jednocześnie we wszystkich działach, na linii i w biurach ponad 1.500 ludzi i tylu spędzi wieczór wigilijny przy pracy. —

Rozmawiam z człowiekiem, który nie opuszcza dworca Kaliskiego w dzień ani w nocy. Jego służba nie ma właściwie przerw, czuwa nawet przez sen, budzą go telefony, wołają na peron, do dyspozytorni. — To zawiadowca stacji.

— Praca u nas ciężka — opowiada, — ciasnota, wiele urządzeń, jak na przykład zwrotnice stare, przekładane ręcznie, tylko Widzew nowy zelektryfikowany. — Ale nie narzekamy, zresztą teraz na to nie czas, trzeba budować, organizować. — Zawiadowca spędził kilka lat w więzieniach niemieckich, teraz może znowu pracować dla polskiej kolei. Uśmiecha się: Dobrze jest.

Zwiedzam dyspozytornię ruchu — serce stacji. Tutaj panuje cisza, tylko aparaty Morsego stukają. Wąskie paski papieru snują się po stole. To z linii nadchodzą wieści, meldunki.

Pod ścianą aparaty z szeregiem dźwigni. Każda dźwignia odpowiada torowi, małe okienko z czerwonym lub białym światłem sygnalizuje czy tor wolny czy wjazd zamknięty. Naciśnięcia dźwigni — to rytm ruchu na dworcu.

— — —

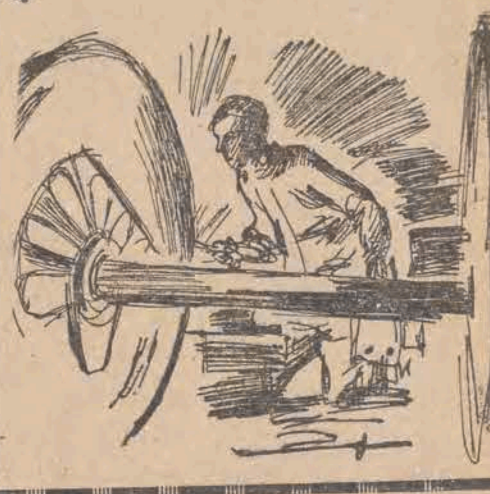
Dobiega godzina 12-sta w nocy. Już późno, czas będzie do domu — żegnam się z zawiadowcą.— Późno? My nie znamy takiego pojęcia, ale dwunasta to zdaje się bardzo wcześnie. —

— — —

Od trzech godzin uganiam po dworcu i jakże niewiele zobaczyłem. Tam w mroku migocą jak gwiazdy światła sygnałów, których nie znam.

Te gwiazdy będą świeciły nad Wigilią kolejarzy.

W ten wieczór wigilijny poślijmy nasze życzenia na dalekie tory, ku tym światłom, ku tym ludziom, którzy święcą Wigilię pracą.



KRÓL SIĘ BAWI

Budowa silna, rosła, harmonijna, rysy twarzy mające w sobie znamiona wielkości i wzniosłości, duże usta, silnie rozwinięta wargi i brwi, wysokie czoło i szerokie szczęki, spojrzenie żywe przyjazne i pełne łaskawości — taki konterfekt Augusta II — króla polskiego, rysuje nam w swych wspomnieniach baron von Leon. Dodajmy do tego niezwykłą nawet na owe czasy siłę fizyczną, temperament sangwiniczny umiejętność dyskursu i podobania się, a zewnętrzny portret Króla będziemy mieli gotowy.

Król podobał się i umiał podobać się kobietom.

Szedł w tym kierunku śladami swego wzoru jakim był dla niego Ludwik XIV, król francuski, tylko, że stosunek obu tych władców do swych kochanek był nieco inny. La Valliere czy Montespan czy wreszcie pani de Maintenon wzięły nie tylko zmysły, ale drobinę przynajmniej uczucia królewskiego. August uczucia dać nie mógł, powodował się w każdym przypadku jedynie zmysłami, a niekiedy zimną rachubą i dlatego budził niesmak brutalnością i cynizmem.

A kochanek tych było wiele, bardzo wiele, przypuszczalnie nawet pokojowiec królewski Mazotini wszystkichby wymienić nie potrafił, i my nie będziemy wdzierali się przemocą do sypialni nierzadko pijanego Króla, pozostawiłoby to nam zbyt wiele niesmaku, a nie wiele dodałoby rysów- charakterystycznych portretowi królewskiemu.

Zajmiemy się jednym dniem tylko, w którym uzyskawszy wzajemność Aurory Koenigsmark August II naówczas jeszcze elektor saski, postanowił wszystkim o tym obwieścić świetną zabawą.

Zaprasza przeto nadobną swą kochankę do pałacu moritzburskiego. Dworska ją wiezie karoca, aksamitem i złotem wybita. Na progach zamku, zewsząd lasem otoczonego, oczekuje przybycia hrabianki Aurory bogini Diana w otoczeniu nimf. Aluzją do imienia Aurory (jutrzenka) wita hrabiankę i zaprasza do wnętrza, by bogowie leśni mogli jej złożyć hołd.

Sala wspaniała, przestronna, ściany pokryte malowidłami, przedstawiającymi sceny z życia bogini Aurory.

Na polecenie bogini Diany (hrab. Belchling) zakrzatnełv sie nimfy około przyjęcia.

I oto jak w bajce: spod podłogi wynurza się stół zastawiony najprzedniejszymi potrawami. Goście zajmują miejsca, gdy nagle podnosi się głos piszczałek, syring i do sali wpada w otoczeniu bogiń leśnych bożek Pan (August II).

Nieco przestrachu, potym poznanie i powitanie, Pan — August zasiada obok Aurory, reszta towarzystwa zajmuje przeznaczone miejsca i wesoło i swobodnie, wbrew etykiecie, bawią się rozmową.

Lecz czas zaczyna się dłużyć, skończyła się biesiada, znużenie zaczyna ogarniać gości, nagle za oknami pałacu daje się słyszeć wrzask ogarów, rogi myśliwskie, zgiełk polowania.

Wszyscy śpieszą do okien i widzą przebiegającego jelenia, gonionego przez myśliwych.

Budzi się ciekawość i pragnienie wzięcia udziału w pościgu. W przewidywaniu tych pragnień czekają przygotowane powozy myśliwskie.

Wkrótce towarzystwo zajęło miejsca i powozy ruszają. Droga nie prowadzi daleko. Jeleń, widząc, że prześladowcom umknąć nie zdoła, wskoczył do jeziora, opływającego z trzech stron zamek, by przepłynąć na wyspę, znajdującą się w środku jeziora. Za nim wskoczyły psy.

Myśliwi i reszta towarzystwa zatrzymała się u brzegu.

Lecz tu czekają na gości gondole.

Przybicie do brzegu wyspy kończy polowanie, gdyż psy dosięgły i rozszarpały jelenia.

Lecz zadaniem polowania było tylko zainteresowanie gości w czasie drogi na wyspę, która przygotowała szereg innych niespodzianek.

Na jednym z krańców wyspy rozbito dwa namioty. Towarzystwo zbliża się i ze zdziwieniem spostrzega, że wnętrze jednego urządzone jest po turecku. Goście zajmują miejsca. W ślad za gośćmi zjawia się po turecku ubrana obsługa, roznosząca bakalie i chłodzące napoje W niedługą chwilę z sąsiedniego namiotu wychodzi szereg dostojników tureckich w barwnych strojach, wśród których kroczy sam wielki sułtan (August).

Szata jego lśni od drogich kamieni, turban z najdelikatniejszej przędzy dopełnia stroju. Orszak kieruje się do namiotu, zajętego przez gości. Podano poduszki i przybysze zasiedli by przvirzeć sie tancerkom. po turecku przybranym, które tańcem mają bawić znakomite towarzystwo.

Po skończonym popisie tanecznym August podaje rękę Aurorze, wprowadza ją do gondoli, w której też zajmują miejsca hr Loewenhaupt i ks. Fürstenberg. Gondola rusza, a za nią dziesiątki innych.

Na wyspie rozlegają się łagodne tony muzyki.

Snuje się nad tą chwilą jakiś wschodni czar, subtelny, w momencie chylącego się ku schyłkowi dnia.

Po wylądowaniu książę August wsiada z Aurorą do otwartego powozu i w otoczeniu janczarów i dostojników tureckich. konno towarzyszących książęcemu powozowi, wracają wszyscy do zamku.

Lecz program dnia jeszcze nie wyczerpany.

Gościnne pokoje zamku wypełniają się. Aurorę do jej apartamentów wiedzie sam August.

Cały prawie pokój zajmuje łoże, cudnie rzeźbione, a nad nim dwa amorki podtrzymują rozpięty baldachim z adamaszku przetykanego srebrem, na którym artysta przedstawił sceny miłosne Aurory i Tytana. Aurora zmienia tualetę, kładzie silne na twarz barwiki, przygotowuje się do wieczorowego wystąpienia. Podobnie i inne panie.

Na wieczór nie obowiązują już suknie hiszpańskiej mody: obcisłe staniki, zwężające talię i obszerne suknie. Brokaty i adamaszki zastępuje miękki jedwab najczęściej przetykany różnobarwnymi kwiatami. Suknie wieczorowe według jedynie obowiązujących wzorów francuskich

Całe towarzystwo, wypocząwszy chwilę, odpowiednio już przybrane, zjawia się na zamkowym teatrum, gdzie artyści drezdeńscy odegrali „Przygody Psychy".

Długo w noc następnie ciągnęła się uczta, swobodna i wesoła. Przy nakryciu stołowym znalazła Aurora bukiet z diamentów, rubinów i szmaragdów — dar Augustowy — a równocześnie odznakę Królowej balu, który w pierwszej parze z Augustem rozpoczęła.

Powoli wir taneczny zapełnił salę balową. August i Aurora znikają. Dwór tańczy.....

A pachołkowie królewscy zabierają ostatnią chudobę chłopom na podatki

S. T.













SZOPKA

Szopka sięga swoimi tradycjami XII wieku, kiedy to św. Franciszek wyprosił u papieża zezwolenie na przedstawienia scen Bożego Narodzenia po kościołach.

Początkowo ustawiano grupę nieruchomych lalek. Matkę Boską z dzieciątkiem, św. Józefa, a w głębi stajenki woła i osła. Z czasem przybywało postaci, zjawili się trzej królowie na koniach i wielbłądach, pastuszkowie z darami, wreszcie postacie regionalne, typy charakterystyczne. Już nie mogą się pomieścić na ciasnej scenie szopki, zaczynają się więc przesuwać przed widzem, ożywają. —

Raz wprawione w ruch kukiełki rozhasały się, rozśpiewały... W formę kościelnej uroczystości wdarł się motyw ludowej śpiewki, humor „świecki".

Z niepokojem patrzyli biskupi na rozrastające się widowisko, przybierające coraz bardziej kształty teatru ludowego. Wreszcie niebezpieczeństwo nawrotu do praktyk pogańskich wydało się im tak groźne, że w połowie XVIII-tego wieku wyrzucono szopkę z kościoła i zabroniono przedstawień.

Porzuconą szopkę wzięli na ramiona wędrowni kolędnicy i ponieśli po wsiach, dając śmieszne widowisko. Niewiele zważano na to, że za przebieranie się w turonia, kozę czy bociana groziła ekskomunika, szopka w asyście poprzebieranych dziwacznie chłopaków stała się najulubieńszym punktem świątecznych uroczystości. —

Herod, diabeł i śmierć prowadzą rozmowy, w których nierzadko przebija nuta satyry, inne postacie śpiewają piosenki regionalne i zawodowe. Poezja szopki ludowej stała się źródłem natchnień teatru w Polsce, i wciąż w nowych poszukiwaniach powracają ludzie teatru do szopki znajdując w niej rozwiązanie dla przyszłej ludowej sceny.

— A ja góral od Wadowic,
A ty bracie skądżeś, powiedz?
Ojciec umarł, a ja został
I po ojcu fajkę dostał.

Rozpoczyna się przedstawienie góralską piosenką, a tu się zjawia dziadek z torbą i dzwonkiem i babka z maselnicą i podrygując na kijkach śpiewają:

Napił się dziaduś ciepłego piwka,
Gonił babusię koło kominka,
Babusia rada rączkami klaszcze,
A mój dziadusiu, pocałuj jeszcze,

Ale jakby spostrzegłszy, że takim wesołkom nikt nie da jałmużny uderzają w płaczliwy ton:

— Prosi dziaduś, prosi...
Torbę z dzwonkiem nosi,
A babusia, dla dziadusia,
Pieczoneczkę dusi,

Poco — ta żebranina, karci ich kujawiak i kujawianka, nie trzeba wiele aby żyć wesoło:

Cztery konie i wóz siana
Oto posag kujawiana,
Miska klusek, dzban maślanki,
Oto posag kujawianki.

Przybył i wędrowny kramarz mazowiecki:

Jestem mazur z drelichami,
włóczę się po świecie,
Cały mój sklep z towarami,
Dźwigam na mym grzbiecie.

Największym powodzeniem cieszy się szewczyk i Małgosia:

Siedzi szewczyk przy warsztacie,
Szyje trzewik Małgorzacie,
Małgorzała się raduje,
Bo nowy trzewik obuje.
Małgorzatko daj mi gęby,
Obszyję ci trzewik wszędy,
I obszyję i podkuję,
A za to cię wycałuję.

Zjawiają się na scenie husarz i dziewczyna i górnik ze Śląska, zawodzą tęskne pieśni flisacy, podskakuje kominiarz.

Zresztą każda dzielnica, każda wieś i miasto dodają szopce nowych bohaterów, nowe teksty.

Wiecznie żywa szopka ludowa wędruje rok rocznie w okresie świąt niefrasobliwym krokiem przez polskie ziemie.

J. M. SZANCER

Boże Narodzenie
w wierzeniach ludu polskiego

Pół tysiąca lat upłynęło od czasu, kiedy nasi kaznodzieje uskarżali się na „pogańskie" wierzenia, oplatające święto Narodzenia Chrystusa Pana, a wierzenia te nie uległy zmianie. Lud nasz, jak inne ludy europejskie, wychodzi z założenia, że „cokolwiek przyniesie komu Wigilia, to samo powtórzy mu się przez rok cały". Tak zwany „godni wieczór" jest od wieków najodpowiedniejszą porą wróżb i przepowiedni. Mają one na celu poznanie losu, doli, szczęścia lub nieszczęścia, długości życia, pogody lub niepogody.

W Rarłowie (małopolskim) głównym obrzędem domowym świąt Bożego Narodzenia jest postna uczta, zwana postnikiem. Przy końcu każdego dania gospodyni uważa, aby zostawiono jakąś cząstkę potrawy na misie. Potrawami tymi uśmierzane duchy przeznaczały tym, którzy składali im ofiary, szczęśliwą dolę na ten nowy rok.

Boże Narodzenie zachowało jeszcze ślady prastarego kultu rolniczego, mającego podnieść wydajność plonów i owoców całego roku. Wieczerza wigilijna powinna się składać ze wszystkich zbóż, jarzyn, zebranych z pola i z ogrodu i gdyby jedną z nich opuszczono, toby nie urodziła się na przyszły rok. Tradycja staropolska wymagała, aby na Wigilii dwanaście było dań, najbiedniejsi więc przestrzegają, aby dociągnąć do obowiązującej liczby, a spożywający je zapewniają sobie ich używanie przez cały rok. Jeżeli gospodyni w czasie Wigilii zapomni podać domownikom jedną potrawę, lud w okolicy Żółyni przepowiada, że ktoś umiera w tym domu. Umrze też, ktoby przy Wieczerzy Wigilijnej nie jadł wszystkich potraw.

Do Wieczerzy Wigilijnej zasiada dwanaście osób, „gdyby ich było trzynaście u stołu, musiałby koniecznie ktoś z nich w roku następnym umrzeć". W każdym zaś razie obowiązuje liczba parzysta biesiadników. Brak zaś liczby parzystej zastępuje się nakryciem, przy którym nikt nie zasiada.

Dziewczęta w okolicy Starego Sącza idą boso o świcie w Wigilię Bożego Narodzenia po głóg w pole. Gdy wrócą z tej zbiórki, starsza gospodyni oblicza gałązki głogu od każdej z osobna i liczy, a dziewczynie, do której do pary, zapowiada rychłe zamążpójście.

Moc uroczystej Wigilii tak jest wielka w życiu dziewcząt, że która pójdzie przed Wieczerzą Wigilijną do stodoły przewiewać zboża i zawoła po imieniu przyszłego męża, ten przyjdzie do niej niezawodnie.

Dziewczę sądeckie wybiega z domu rano w dzień wigilijny Bożego Narodzenia i pyta pierwszego przechodnia o imię, w tym przekonaniu, że takie imię mieć będzie jej ulubieniec. Po obiedzie w Wigilię Bożego Narodzenia, wychodzą dziewczęta w okolicach radomskich na dwór i wołają:

Hop, Hop!
Gdzie mój chłop?

a w której stronie echo się odezwie, z tej strony kawaler przyjdzie. Dziewczęta nie tylko krzyczą głośno, nadsłuchując skąd przybędzie przyszły mąż. Przykładają też ucho do ziemi i z tego, jaki głos usłyszą, wróżą jakiego męża dostaną, albo kładąc się na lodzie, nadsłuchują, aby ze szmeru potoku wywróżyć sobie męża. W Wigilię Bożego Narodzenia, po wieczerzy, dziewczęta przemyskie chodzą około północy pod okna cudzych domów i stukając w nie pytają: Pójść, pójść, pójść za mąż. Jeżeli z zewnątrz ktoś odpowie „ich" — to wnet wyjdzie zamąż, jeżeli ktoś odpowie „drżyj kloc", to dana dziewczyna idzie do olszy, a obszedłszy ją trzy razy dookoła, pyta za każdym razem:

„Olsza,
czy ja najgorsza,
co się wydać nie mogę".

Albo podsłuchują u okien, która doczeka się słów: pójdź, zrób albo przynieś, ta pójdzie za mąż. Gdy nieszczęściem usłyszy „siedź siadaj", będzie musiała jeszcze rok przeczekać.

Krowy podczas dojenia w Boże Narodzenie rycząc wróżą śmierć swemu gospodarzewi. W okolicy Czarnego Dunajca górale dają bydłu resztki Wieczerzy Wigilijnej aby chowało się dobrze. Wierzą bowiem, że bydlęta w noc wigilijną rozmawiają o gospodarzu, jakie będą urodzaje w tym roku, czy będzie się szczęściło w gospodarstwie, lecz tylko człowiek święty mógłby tę rozmowę bydła podsłuchać. Podczas pasterki bydło rozmawia z sobą, skarżąc się za doznane krzywdy, ale tylko człowiek bardzo sprawiedliwy może zrozumieć ich rozmowy, innym podsłuchiwanie bydląt grozi śmiercią.

W. ANGLOAMERYKAŃSKIEJ STREFIE OKUPACYJNEJ.



rys. Tadeusz Ulatowski

— Mówiłem ci, Hans, że i nam gwiazdka zaświeci!

ŚWIĄTECZNY „OBIAD POPULARNY".



rys. Karol Baraniecki

— Co szanowny pan życzy sobie do kotlecika?

— Jeszcze takie trzy kotleciki!

Powiedzonka świąteczne

„BOŻE NARODZENIE... NA LODZIE" — westchnął min. Marschall, reasumując wyniki dyplomacji dolarowej.

„BOŻE NARODZENIE... PO WÓDZI" — mruknął wielbiciel wyrobów P. M. S. w dzień wigilijny.

„NIE BYŁO WAS, BYŁ LAS" — zauważył z wyrzutem las pod adresem ogałacających go z choinek.

„JESTEM URŻNIĘTA" — oświadczyła smutnie choinka ścięta na święta.

„POKÓJ LUDZIOM DOBREJ WOLI" — rzekł funkcjonariusz Urzędu Kwaterunkowego, przydzielając na gwiazdkę mieszkanie dla pracującego.

„BUG W DOM" — powiedział gościnny rybak, mieszkający nad Bugiem, słysząc jak fale tej rzeki uderzają o drzwi jego chaty.

„DOSTAŁEM GWIAZDKĘ!" — chwalił się podchorąży, awansowany przed świętami na podporucznika.

„NAPEWNO MNIE WEZMĄ NA JĘZYKI" — stwierdził schab na stole świątecznym.

„ANI W ZĄB MI NIE IDZIE" — żalił się bezzębny dziadek gryząc świąteczne orzechy.

„JEDZ, PIJ I POPUSZCZAJ PASKA" — zachęcała w czasie świąt paskarza jego małżonka.

„PRZYBIEŻELI PASKARZE..." — zakolendował milicjant kierownikowi Obozu Pracy, przyprowadzając transporcik spekulantów.

WESOŁY GŁOS

Stefan Stefański

Wigilia Sylwestra Majoneza

(Opowieść prawie dickensowska)

Zaczęło się z samego rana. Sylwester Majonez, właściciel dużego sklepu na Szabrowym rynku pod f. „Polruch", spotkał się w bramie z tym „pętakiem" Piegża. Trzeba wiedzieć, że Piegża był młodym robotnikiem i od dawna się nie podobał Majonezowi, ponieważ mimo trudne warunki życiowe — był stale zadowolony i ciągle śmiał się, że będzie lepiej. Teraz też nie miał widocznie nic lepszego do roboty, bo krzyknął prowokacyjnie swym idiotycznie wesołym tenorkiem:

— Wesołych świąt, panie Majonez!

— Zawsze panu głupstwa w głowie — warknął ze złością sklepikarz — Wesołych świąt! Jakiż to pan może mieć powód do wesołości? Taki bidak z łatą na portkach!

— A to ci heca — zaśmiał się Piegża — Pewnie, że mam łatę na portkach, ale pan masz przecież cały angielski garnitur i sobolowe futro. Więc jaki powód do smutku? Taki burżuj z wydrowym kołnierzem!

— Bałwan! — oburzył sią Majonez — Burżujem mnie nazywa, a nie zastanowi się nawet, czym dla kupca jest dziś „wesołe" Boże Narodzenie. W tym dniu zamykamy bilans dwunastomiesięcznej galerniczej pracy po to, aby się przekonać, że cały zysk z niej zabierze mi urząd skarbowy. A tu, wydatki, właśnie w związku z gwiazdką — duże. Córce na wigilię obiecało się łapki karakułowe, a żonie kolię z blauwajsem. Ej, panie Piegża, nie ma co szczerzyć zębów, jak głupi do sera. Ciężko, uważa pan, w waszej Polsce porządnemu kupcowi.

— Ciężko? — zdziwił się wesoły robociarz — To przyjdź pan do mnie na wigilię. Ja kolii ani łapek karakułowych na wigilię nie potrzebuję kupować, to mi na święta starczy...

Po czym wartogłów pędem wyleciał z bramy. Majonez zaś wszedł do „Polruchu" po to chyba, by się skolei zirytować uśmiechniętą miną ekspedientki Pypeciówny.

— Druga idiotka — mruknął surowo — Pani też pewno w głowie „wesołe" święta, o co? A w letnim płaszczyku do sklepu pani przychodzi.

— Nie szkodzi — odcięła się Pypeciówna — cnota mnie grzeje. Zresztą przypuszczam, że pan mi odpali taką gratyfikację świąteczną, iż futro sobie będę mogła kupić?

— Akurat — zgrzytnął Majonez — Wie pani, ile urzędowi skarbowemu mam przed Nowym Rokiem bulić? Nie wie pani. To niech futro kupi pani demokracja.

— A pewnie, że kupi. Tylko nie od razu. Nie tak, jak pan — swojej córce.

— Odczep się pani od mojej córki! — warknął kupiec — I co to w ogóle za ordynarne przycinki!

Ale i przy kasie nie mógł usiedzieć. Klienci — uważacie — go za bardzo drażnili. Tym swoim kretyńsko-ucieszonym wyrazem twarzy. Dam ja wam — pomyślał — zaraz sursum corda — i poszedł do wystawy, żeby ceny na artykuły spożywcze o 50 proc. podnieść,. Ale i ten świąteczny pomysł nie zepsuł ludziom humoru. Śmieli się jeszcze bardziej.

— Panie Majonez — mówili — powinien pan sklep nad morzem prowadzić, u pana bardzo słono.

Jedna się tylko porządna konsumentka znalazła. Zaraz widać, że dama sanacyjnej daty .Ubrana w popielice, zakupów na 20 tysięcy złotych zrobiła. ale za to bardzo na ciężkie czasy narzekała. Człowiek — powiedziała — nie może sobie teraz na wyprawienie najskromniejszych świąt pozwolić.

— Głowa do góry — dodała na pożegnanie — panie Majonez. Nie traćmy nadziei. Jest jeszcze Pan Jezus nad nami sierotami i w ogóle bomba atomowa.

Podniósł tedy pan Majonez do góry znękaną kupiecką głowę, ale nie na długo. Widocznie jedna jaskółka nie czyni wiosny, bo zaraz po niej weszło do sklepu dwóch facetów, zresztą w miłych, przedwojennych czapkach studenckich. Ale takie, psiakrew ,czasy, że nawet przedwojenna czapka nie czyni dziś faceta przedwojennym człowiekiem. Bo oto zamiast — starym zwyczajem — pikietować „Polruch" od Żydów, akademicy zwrócili się do Majoneza z dziką wprost propozycją.

— Nadchodzi — powiedzieli — gwiazdka, a dużo mamy w Polsce bidaków, sierot, chorych, repatriantów i inwalidów. Mamy nadzieję, iż szanowny pan zechce...

— Zechce, zechce — przerwał ze złością Majonez. — A cóż to znowu? Czy wasza demokracja skasowała już więzienia, domy starców ,domy poprawcze, przytułki? Czy te pożyteczne instytucje są już nieczynne?

— Owszem czynne — odrzekli akademicy. — Ale, niestety, samo państwo ma tak mało środków materialnych, że ci łazarze nieraz przymierają...

— To niech przymrą zupełnie — odrzekł stanowczo kupiec. — Przynajmniej raz się pozbędziemy tych darmozjadów, dybiących na cudzą kieszeń. A zresztą co do pomocy materialnej — to sam bym przyjął. Nawet na kolię z blauwajsem dla żony człowiek na gwiazdkę nie ma. Żegnam panów.

Nadchodził wieczór. Ruch w „Polruchu" zaczął gasnąć. Majonez zwolnił Pypeciównę, po czym — starannie obejrzawszy i zamknąwszy sklep — udał się do domu. Lecz Wigilia na łonie rodziny nie złagodziła cierpień jego rozdętej wątroby. Olbrzymi salon pracowitego kupca zamienił się podczas kolacji gwiazdkowej w łaźnię westchnień.

— Ciężko — wzdychała Otylia Majonezowa, poprawiając kolię z blauwajsem.

— Ciężko — wzdychała Pelagia Majonezówna, dławiąc się łososiem.

— Ciężko — wzdychał Sylwester Majonez, krztusząc się francuskim koniakiem. Raptem Majonez przerwał wieczerzę.

— Wiecie co — powiedział — moje drogie, zostawmy te cenne dary boże i chodźmy sobie na wigilię do Piegży. Wyobraźcie sobie, ten pętak dziś rano mnie zaprosił na święta.

— Słusznie — podchwyciła pani Otylia. — Jak demokracja — to demokracja. Niech ci, dla których dziś jest wszystko, podzielą się pod Bożym Drzewkiem z nami, dla których nawet śledzi na kartki dziś nie ma!

I poszli.

Wrócili nad ranem, b. zadowoleni: Piegża dał im w prezencie przydziałowe konserwy. Po świętach je wystawią na sprzedaż.

ŚWIĘTA ARYSTOKRACJI.



— Dziękuję, panie hrabio, za życzenia, ale wolałabym je spędzać na Ziemiach Zachodnich.

— W Szklarskiej Porębie?

— Nie, w Londynie.

Jerzy Zajączkowski

KOLENDA

W związku z Świętami (jak to w zwyczaju),
złożyć chcę bliźnim życzenia swe.
Niech się kochają i rozmnażają
i forsę mają, no, i te de...
Hej! Kolenda, kolenda!...

Tym, co w tym roku plan wykonali
i wyprzedzili wysiłkiem czas,
życzę, by dalej tak pracowali
dla dobra swego i dobra mas...
Hej! Kolenda, kolenda!...

Tym, którzy dotąd spokojnie kradli,
czy detalicznie, czy też en gros,
życzę, by wreszcie spokojnie wpadli
(bo trzeba przecież wyplenić zło)...
Hej! Kolenda, kolenda!...

Kochanej Łodzi z okazji Święta
(ach! ponad wszystko cenię tę Łódź!)
życzę serdecznie — niech zapamięta —
by mniej już odtąd było... ją czuć! —
Hej! Kolenda, kolenda!...

Urzędom życzę i biurokratom,
którzy w urzędach tych pełnią straż,
by nie robiły ze stron wariatów
i szanowały bardziej nasz czas...
Hej! Kolenda, kolenda!...

„Filmowi", który ma dobre chęci
(n.b. od trzech lat te chęci ma!...)
życzę, by przestał nareszcie kręcić,
a w zamian za to, film niech nam da...
Hej! Kolenda, kolenda!...

Zaś dyplomatom życzę najszczerzej,
(tym, co za wszelką cenę chcą wstecz),
żeby z nich każdy w końcu uwierzył,
że to jest zgóry przegrana rzecz...
Hej! Kolenda, kolenda!...

Albin Skromnisiewicz

Projekty upominków gwiazdkowych

DLA DYPLOMATÓW AMERYKAŃSKICH

Wiem, że by chcieli dostać na gwiazdkę...
Europę, ale obejdą się smakiem:
Prezent zbyt wielki, przeto dostaną
(miast Europy) — figę z makiem!

ZACHODNIM ZWOLENNIKOM ORIENTACJI DOLAROWEJ

Coby zawiesić im na choince?
To mnie napełnia troską:
Najlepiej chyba nic im nie wieszać,
bo sami wiszą... na włosku.

NA PEWNĄ AKTORKĘ

O gwiazdeczko, coś błyszczała,
gdym ja ujrzał świat —
Jakżeś się też zestarzała
przez tych kilka lat...

ZAKUPY ŚWIĄTECZNE.



EKSPEDIENTKA: — Mam panu pokazać coś jeszcze?

KLIENT: — Nie, to, co widzę, zupełnie mi wystarcza...

„POWRÓT Z „RYBKI".



rys. Tadeusz Ulatowski

— Wszystko — ep — przez tych duplomatów amerykańskich: ani bezpieczeństwa. ani roz-brojenia!

PREZENT GWIAZDKOWY.



rys. Tadeusz Ulatowski

— Ignac, co ty wyrabiasz?

— Chciałem ci, najdroższa, położyć coś pod choinką...

ŚWIĘTA U KUPCA.



— Ceny na choince, Zwariowałeś?

— A zapomniałaś, że w drugi dzień świąt ma przyjść z wizytą Pawszukiewicz z Komisji Cennikowej?



PROMYK

Jan Marcin Szancer

BAJKA WIGILIJNA

Było mroźno, więc chłopiec podskakiwał biegnąc przez las. — To tak dla rozgrzewki i trochę dla dodania sobie otuchy, bo wiadomo, w lesie nocą niebezpiecznie, dziki zwierz, albo inna zła przygoda człowieka spotkać może...

Więc chłopiec zawołał jeszcze: „Hej! Hej!", przeskakując przez ogromny korzeń i pognał przed siebie. Nie zauważył, że w skoku wypadło coś z kobiałki, którą niósł na ręku i potoczyło się w śnieg.

Z krzaków wychyliła się chytra, lisia morda, ślepia zazezowały za biegnącym, po czym nos zwrócił się węsząc ku owej rzeczy, leżącej na śniegu.

— Musi być coś do jedzenia — pachnie ładnie — mruknął lis. — Tak, jakby zalatywało dymem jałowcowym. A no spróbujmy.

I już lis otwiera łakomą paszczękę, a tu nagle warknęło coś na niego groźnie. Szary cień wilka wynurzył się zza drzew.

— Zostaw to! — nakazał groźnie wilk. — Czy nie słyszałeś, że dzisiejszej nocy nie wolno nikogo napadać, kraść, ani grabić?

— Piękne mi zarządzenie — zaśmiał się lis, — więc mam do samego rana pościć, choć mi kiszki z głodu marsza grają? A poza tym ten kąsek spadł po prostu z nieba, więc to się chyba nie liczy.

— Milcz, łakomczuchu! Czy nie widziałeś, jak wieczorem przelatywał nad wierzchołkiem świerków świetlisty człowiek-ptak, śpiewając pieśń radości i pokoju?

— No, niechby leciał trochę niżej, — westchnął lis — kłapnąłbym ja go za skrzydło... A teraz, co mam zostawić ten pięknie pachnący kęsek na łaskę losu?

— Nie, bracie lisie — tamten chłopiec może teraz martwi się swoją zgubą, odniesiemy mu ją, a ty sam będziesz ją trzymał w pysku... Tylko nie waż się jej ruszyć, bo ci kark strzaskam.

Rad nie rad musiał lis posłuchać, bo chociaż go wilk bratem nazywał, lepiej z takim bratem nie zaczynać.

Ciekła mu ślina, w nosie kręciło niemiłosiernie, kiedy biegł śladami chłopca. A najgorsze to, że w drodze przyłączyły się do wilka i lisa inne zwierzęta, śmiejąc się w głos z lisiej przygody. Uprzykrzona wiewiórka skakała z pnia na pień chichocąc, a niezdarny niedźwiedź podrygiwał mrucząc z zadowolenia.

Tak dotarły zwierzęta do skraju lasu, przed nimi białe pole, a w dali domki pobliskiej wsi. Zatrzymały się niespokojne.

— Jak myślicie, — zapiszczał zając — czy ludzie dzisiejszej nocy też szanują pokój?

— Ba! — zastanowił się miś — ludzie może jeszcze gorsi od lisa, który na anioła zęby szczerzył, wszystkiego się można po nich spodziewać.., ale co robić.

Tak się naradzały zwierzęta, a tymczasem chłopiec brnąc poprzez zaspy śnieżne zbliżał się do wsi. Wszyscy już widać spali, bo w oknach było ciemno, tylko w jednej najmniejsze chatce migotało coś.

— Tam mi może powiedzą, gdzie to z tym darami do małego Zbawiciela się idzie — pomyślał chłopiec.

A kiedy się zbliżył do chatki, światełko rozjarzyło się w ogromną łunę i głosy jakieś nieziemskie nucić poczęły cudowną melodię. Stanął chłopiec u progu, dech mu zaparło.

Nie była to chatka, a stajenka licha, ale w jej wnętrzu gorzało, że aż chłopiec oczy przymrużył. W tym blasku widział Dzieciątko, a nad nim nachyloną matkę. Sięgnie chłopiec do kobiałki, żeby dar Dzieciątku złożyć, smakowicie uwędzony serek, a tu serka nie ma.

Padł więc na kolana i zapłakał.

— Daruj Zbawicielu... zgubiłem najpiękniejszy serek, ale ja się wrócę, znajdę, choćby się w śnieg zapadł...

W tej chwili za chłopcem rozległo się jakieś chrząkanie i mruczenie, a kiedy spojrzał za siebie, mało nie zemdlał ze strachu.

Cała gromada zwierząt leśnych z wilkiem i lisem na czele skupiła się przed chatką.

Lis wynurzał się nieśmiało i podniósł mordę, podając chłopcu zgubiony serek.

Złożył chłopiec przed żłobkiem serek smakowity, a Dzieciątko uśmiechnęło się do niego, a potem podniosło rączkę, błogosławiąc chłopca i lisa i wilka i niedźwiedzia i wszelkie leśne zwierzęta i cały świat, który tej jednej wigilijnej nocy święcił pokój.



Zagadki

1. Jakich najwięcej drzew w lesie?

(Od. — Okrągłych.)

2. Poco wrona leci do lasu?

(Odp.: — Bo las do niej nie przyjdzie).

3. Robili robotnicy na strychu, było ich dziesięciu. Starszy majster wszedł na schody i zawołał: pół i półtora niech zejdzie na dół! Ilu ich zostało?

(Odp.: — pozostało ich ośmiu, dwóch odeszło jeden (nazywał się) „Pół" i drugi „Półtora").

Nadała Grządziela Daniela z Bolemina.

* * *

Nie ptak, a ma skrzydła,
nie pastuch, a śpi u bydła.
Nie ćma, a nocą lata,
nie borsuk, a śpi w zimie.
Cóż to za bestia skrzydlata,
co „nie" ma na imię?

* * *

W pręcie wierzbowym
Zabrakło drzewa.
Ktoś wziął pręt w ręce
i patrzcie — śpiewa.

. . .

Na białej sukni
zielone warkocze.
Stoi i płacze,
a nie wiem po czym.



Dzieci piszą do „Promyka"

Kochany Promyku!

Gdy nie umiałam jeszcze czytać, lubiłam słuchać różnych opowieści, czytanych głośno przez starszych braci. Teraz, gdy opanowałam naukę czytania, chętnie czytam każdą książkę. Pragnę nawet urządzić sobie małą biblioteczkę. Do takiej biblioteczki nadawałby się Promyk, gdyby był drukowany w formacie książkowym, to jest gdyby zamiast na jednej stronie arkusza, — drukowany był po połowie na obydwu stronach. Taki Promyk, w końcu roku oprawiony w okładki, zająłby na półce mało miejsca i nawet po wielu latach mógłby wzbudzić zainteresowanie. Przypuszczam, że więcej dzieci poparłoby mój projekt. A może Promyk spełni to życzenie i od Nowego Roku będzie wychodził w nowej formie?

Kończąc ten list i stosując się do wezwania Redakcji wspomnę, że jestem uczennicą V szkoły podstawowej im. Kazimierza Promyka i mieszkam w Łodzi przy ulicy Wapiennej 20 m. 1.

Przy okazji zasyłam pozdrowienia kochanemu Promykowi Cecylia Giegier.

ODPOWIEDŹ REDAKTORA.

Droga Cesiu, pomysł Twój co do formatu Promyka jest dobry, ale — niestety — niemożliwy do zrealizowania, bo przecież należałoby drugą połowę stronicy także zrobić w formie książkowej, a to by znów psuło szyki „Głosowi Robotniczemu". Miejmy jednak nadzieję, że trudności „papierowe" niezadługo się skończą, a wtedy Promyk dostanie więcej miejsca i napewno nie omieszka skorzystać z Twego słusznego projektu. *Redaktor.*

Kochany Promyku!

Mój tatuś prenumeruje „Głos Robotniczy", a ja czytam Promyk od pierwszego numeru. Tylko jeden raz napisałem do Ciebie. Z wielką radością przeczytałem wiadomość, że przyślesz swym czytelnikom książki na „gwiazdkę".

Chociaż mam 9 lat, ale jestem „pożeraczem" książek. Mieszkam za miastem, nie mam żadnych rozrywek, a o książki tak trudno. Proszę Cię kochany Promyku, jeżeli to jest możliwe, przyślij mi „Robinsona Kruzoe" albo „Bajki Andersena".

Czytałbym w domu braciszkowi, bo on jest w pierwszej klasie i jeszcze nie umie czytać, ale bardzo lubi słuchać bajek i opowiadań.

Sienkiewicz Ryszard
Łódź, Radogoszcz, ul. Prawa 16
uczeń III kl. Szk. Pow. nr. 122

ODPOWIEDŹ REDAKTORA.

To bardzo dobrze, że lubisz czytać książki i że Twój mały braciszek lubi ich słuchać. Sądzę, że „Robinsona" lub bajki Andersena uda nam się znaleźć. Która z dotychczas przeczytanych książek spodobała Ci się najlepiej? i dlaczego? Pozdrawiam Cię wraz z Twym braciszkiem. *Redaktor.*

Drogi Promyku!

Piszę do Ciebie poraz pierwszy i nie wiem, jak zostanie przyjęty mój list. Z niecierpliwością czekam każdego wtorku, gdyż jestem zawsze ciekawa, co będzie nowego w gazetce. Zawsze patrzę na listy mych rówieśnic i nareszcie zwyciężyłam swoją nieśmiałość i także piszę. Jakże szczęśliwe są te dzieci, które dostaną „gwiazdkę" od Ciebie w postaci książki. I jabym także chciała dostać coś ciekawego do czytania, ale tego roku napewno nie wezmę udziału w „gwiazdce" Promyka, bo za późno odezwałam się do Ciebie. Przyrzekam na przyszłość pisać częściej i napewno w następnej „gwiazdce" i ja wezmę udział i dostanę od Ciebie coś miłego. Jestem uczennicą II kl. Gimn. Handl., mam 17 lat i chciałabym bardzo, Promyku, byś mnie przyjął do swego grona i odpisał mi. Promyku, mam do Ciebie prośbę, — poradź mi, co można kupić na gwiazdkę wychowawczyni, z którą żyję, jak z przyjaciółką? Teraz kończę i serdecznie pozdrawiam całą Redakcję i cieszę się, że za tydzień, gdy będę oglądała Promyk, znajdę kilka słów dla siebie.

Renia Dubasówna
Łódź, Karpia 63 m. 4

P. S. Proszę mi wybaczyć, jeżeli zrobiłam jakiś błąd.

ODPOWIEDŹ REDAKTORA.

Droga Reniu, bardzo się cieszę, żeś zdążyła napisać do Promyka przed „gwiazdką", a jeszcze bardziej tym, że Ci się gazetka nasza podoba i że będziesz z nią utrzymywała stałą łączność. Ciekawi mnie właśnie — sądzę, że również i naszych czytelników — życie i praca młodzieży gimnazjalnej. Możemy więc na Ciebie liczyć, prawda? Co do podarunku dla Twej wychowawczyni — sądzę, że najlepiej będzie, gdy kupisz jej ciekawą książkę. Zresztą — rozumiesz sama, że w takim wypadku najważniejszym jest sam dowód pamięci, a reszta zależy od możliwości finansowych i nie ma większego znaczenia. *Redaktor.*